

GORNICY.

Obrazek dramatyczny ze śpiewami
w 5 aktach.

Napisał

Piotr Kołodziej.

(Bez pozwolenia autora nie wolno przedstawiać).



Josef Gallus

BYTOM G.-Ś.

Nakładem i czcienkami drukarni „Katolika“.

1894.

3237/51
50552

OSOBY:

Jan, stary górnik.

Juliana, jego żona.

Hanka, } ich dzieci.

Szymon, }

Filip Zagroda, górnik.

Małgorzata, jego żona.

Pawełek, }

Marysia, } ich dzieci.

Stasiek, }

Jakóbową, wdowa.

Staś, jej syn, górnik.

Stach, }

Walek, } robotnicy na szybie.

Horn, dozorca.

Francja, }

Gustla, } dziewczęta pracujące
Hedwig, } na kopalni.

Bronisława, }

Greinert, inspektor górniczy.

Weinert, sztygar.

Przychlebek, nadgórnik.

Krećpięta, agent.

Antek, ciskacz.

Górnicy, druzbowie, druchny i lud obojej płci.

(Rzecz dzieje się w I i V akcie w pomieszkaniu Jana,
w II i IV na szybie, w III akcie w przodku w kopalni).



H. Gallus, Bytom, Jowitowa 10
21.12.07. 25 30.-

Akt I.

(Scena przedstawia pomieszknię górnika Jana, na prawo drzwi do komory, na lewo drzwi do kuchni. Stół, dwa krzesła, skrzynia itd.)

SCENA I.

H a n k a.

Dzień dzisiejszy tak piękny, tak wesoły, cała natura się na nowo ożywia, i do nowego życia pobudza. Ale mnie to wszystko nie cieszy, bo kto wie, jak się to jeszcze skończy; gdy się mój Stasiak oświadczy o moję rękę i otrzyma odmówną odpowiedź, wtenczas dla mnie smutne życie. Bo prawdę mówiąc, Staś jest ubogim chłopczyką, i musi jeszcze żywić chorującą matkę; jednak go kocham i bardzo kocham, za to, że jest porządnym chłopcem, i chociażby inny stanął w złocie, nie oddałabym mu mej ręki. Mój ojciec, zdaje się, nie będzie się sprzeciwiał naszemu pobraniu, ale matka nie jest na Stasia dobrej woli z tego powodu, że jest górnikiem. Matusia mówi, że górniczne życie zawsze tylko na włosku wisi i nie przetrwałaby tego, gdyby Staś zabity został, a ja bym została wdową. Ale, ale wnetbym zapomniała, że ojciec pójdzie do pracy, a brakuje mu guzika u kamizelki, muszę go przyszyć (przynosi kamizelkę, siada na krzesło, szyje i śpiewa.

Śpiew Nr. I.

O mym Stasiu zawsze marzę,
Przy nim tylko pragnę żyć,

Ale matka mi nie każe,
O miłości ani śnić.

Matka mówi, żem dziecinna,
Że to tylko serca szał,
Ach mój Boże! cóż ja winna,
Żeś mi takie serce dał.

W ojcu mym nadzieja cała,
Ojciec, to mój aniół stróż,
Gdybym Stasia poślubiła,
Przyzwoliłby na to już.

Matusz moja, nie bądź sroga,
Pomnij własny mirty kwiat,
Staś mnie kocha, ach! dla Boga
Wydajcie mnie, wydaj w świat.

SCENA 2.

Julianna, Hanka.

Julianna (wchodzi z lewej).
Czy ojciec jeszcze nie powrócił?

Hanka.

Nie!

Julianna.

Dzisiaj miałam straszne sny, i mam jakieś dziwne przecucie, lękam się czegoś, boję się i sama nie wiem czego. Hanuś, usłuchaj mnie i nie bierz sobie Stasia. Dopiero masz na Wszystkich Świętych dwadzieścia lat, to jeszcze masz dosyć czasu za mąż. Wierzaj mi, z chęcią przyzwoliłabym na wasz związek, gdyby Staś był innym robotnikiem, ale nie górnikiem, tym nieszczęśliwym górnikiem.

H a n k a.

Matusiu, czy górnik jest złym robotnikiem? Nie! owszem przeciwnie. Czytałam w pewnej książce, że górnicza praca jest najpierwszą do wszystkiego. Zkądby wziął król miecze i broń, gdyby górnicy nie nakopali kruszczu i węgla? Zkądby miał rolnik pług do roli, gdyby górników nie było. Maszyny, fabryki, wcaleby się nie ruszały, gdyby górników nie było. Więc matusiu, chlubić nam się potrzeba, że ojca mamy górnika, i...

J u l i a n n a (przerywając).

I chciałaś powiedzieć zięcia też dostaniemy górnika. Co do mnie, to ci otwarcie powiem, że już do syć strachu użyłam przy tem górnictwie. Idzie ojciec do pracy, a kto wie, czy zdrowo powróci, albo czy go nie przywiozą zabitego.

H a n k a.

Matusiu, nie tylko górnicy, ale wszyscy robotnicy, ba! nawet wszyscy ludzie nie wiedzą, gdzie ich śmierć czeka. Gdyż nas już i pismo święte napomina: „Czuwajcie, bo nie wiecie dnia, ani godziny, kiedy śmierć przyjdzie.“

J u l i a n n a.

Oórko, prawdę mówisz, ale mi jednak przyznać musisz, że górnik jest wystawiony na największe niebezpieczeństwo; spuszcza się pod ziemię, prawie choćby żywcem do grobu.

H a n k a.

Matusiu! my wszyscy powinniśmy mieć grób przed oczami.

Juliana.

No, no, weźmij go sobie! Ale obyś potem tylko nie płakała.

Hanka.

Wszystko w ręku Boga, lecz dotąd poznałam, że Staś ma poczciwe i dobre serce, jest dobrym katolikiem, dla tego mu sprzyjam.

Juliana (spogląda oknem).

Ojciec powraca.

SCENA 3.

Jan, Juliana, Hanka.

Juliana.

Staroniu, gdzieżeś tak długo bawił, czyście dopiero dzisiaj za wczorajszą skórę pili?

Jan.

Ej, ty dawno wiesz, że nie cierpię, gdy kto zmarłego skórę oblewa, albo gdy ludzie prosto z pogrzebu do karczmy idą, jak to jest zwyczaj w niektórych wioskach. I słusznie występował w Niedzielę księszek na kazaniu przeciwko temu brzydkiemu zwyczajowi. A na dowód przypomniął przykład, do czego to wstępowanie z pogrzebu do karczmy doprowadzi. Pewna żona pochowawszy męża, zaprosiła krewnych i znajomych, naturalnie prosto do karczmy, aż w ostatku tak się podochociła, że stanęła przed muzyką i zaśpiewała:

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Więc kiedy umarł, to już nie wstanie.

Dana, moja dana.

Julia n n a.

Ty zawsze tylko na kobiety wygadujesz, a mężowie dziesięć razy gorsi. Spoglądają, aby żona jak najprędzej oczy zawarła, żeby już drugą pojąć.

Jan.

Tylko się nie gniewaj, bo to żart. Ale zapomniałem ci powiedzieć, że żałowałem, żeś wczoraj nie była ze mną na pogrzebie naszego współpracownika, to byś była słyszała mowę pogrzebową, co to jest górnik i jakie jego przeznaczenie.

Julia n n a.

Dawno wiem, że górnik takie przeznaczenie, aby każdej godziny gotowy był na drugi świat. Jak ten któregoście pochowali; przed tygodniem był zdrów, poszedł do pracy zdrów, a za parę chwil przywożą go zabitego! Takie jest górnikowe przeznaczenie.

Jan.

Już cię tyle lat przekonuję, a ty zawsze przy swoim obstajesz, i górników nie lubisz.

Julia n n a.

Naturalnie że nie, bo górnikowi zawsze stoi śmierć przed oczami.

Jan.

Dobre żonko, jeszcze jedno słówko a potem sama rozsądzisz. Gdzie twój ojciec umarł?

Julia n n a.

No, gdzie w domu, na łóżku.

Jan.

A gdzie twój dziadek?

J u l i a n n a.

Też w domu, na łóżku.

J a n.

Widzisz, samaś na siebie dekret wydała, bo i ty mieszkasz w domu, i nie boisz się każdodziennie spać na łóżku.

J u l i a n n a.

Ej.... ej.... tyś zawsze mądrzejszy.

J a n (do Hanki).

Hanusju, idź przynieś mi świeżej wody.

H a n k a.

Z źródła?

J a n.

Tak, będzie zimniejszą.

H a n k a (odchodzi do kuchni po dzbanek).

SCENA 4.

J a n, J u l i a n n a.

J a n.

Słuchaj stara, wczoraj mi mówił Staś, gdyśmy powracali z pogrzebu, że na przyszłą Niedzielę przyjdzie po słowo, jeżeli mu naszą Hanke damy. Moje zdanie jest, że mu Hanke damy, bo to jest chłopak uczciwy, pracowity i bogobojny, i znam go bardzo dobrze, bo z nim w jednym przodku pracuję. Cóż ty na to?

J u l i a n n a.

Stasiowi nie można niczego zarzucić, ale co do mnie wolałabym, żeby nasz zięć nie był.... nie był...

Jan.

Nie był górnikiem.

Juliana.

Tak, zgadłeś.

Jan.

Znowu ta stara melodia. Myślałem, że się zapytasz, czy on też szczerze kocha naszą Hanke; czy się też nie łączy na tę chałupinę, którą Hanka po naszej śmierci odziedziczy.

Juliana.

Masz rację, prawie mi to z głowy wyszło.

Jan.

Acha, o głównej rzeczy zapomniałaś. Więc słuchaj, ja tak umyśliłem. Chociaż nam wiadomo, że Staś jest dobrym chłopakiem, ale nie zawadzi go doświadczyć, czy on prawdziwie naszą córkę kocha.

Juliana.

Ale jako go doświadczyć? Czy mu to wleziesz do sumienia?

Jan.

Tego nie, ale zrobię tak: Ubiorę się w ubiór, który przeszłego roku miałem do teatru, to jest: kołpak na głowę, długą siwą brodę, i czarny płaszcz. W takim ubiorze przedstawię mu się niespodzianie w kopalni za skarbnika, i będę go się pytał grubym głosem, czy kocha córkę starego Jana, górnika.

Juliana.

Ale jak cię pozna?

Jan.

To będzie tylko żart, a jak mnie nie pozna, to mi powie prawdę.

Julianna.

Gdyby to było w domu, radabym słyszeć, ale w kopalni....

Jan.

W kopalni przy robocie, najlepsza sposobność. Tylko ani słówka nie mów przed Hanką.

Julianna.

Nie!

Jan.

Teraz dawaj co zjeść, bo będzie czas się obłoczyć na szychtę. Szymek już wstał?

Julianna.

Jeszcze śpi!

Jan.

Idź obudź go, bo czas (odchodzi).

Julianna (za scenę woła):

Szymuś, Szymuś wstawaj, bo już czas (odchodzi za Janem do kuchni).

SCENA 5

Szymuś, potem Hanka.

Szymuś (przeciąga się).

Oj tak bolą kości! Jeszcze się chciałem przewrócić ze dwa razy, a tu wstawaj, bo już czas na szychtę. Mógłbym jeszcze spać z pół godziny, bo niżej górniczy węgiel ustrzelają, wozaki do wozów naładują, dopiero przychodzi na mnie kolej, wozy ładowane odciskać. Ale przyjdź tam tylko pół godziny później, to jak nadgórnik zaferlezuje, a czasem i czupry-

na potrząsie, to się i spania odechce. Ej, gdyby tylko zostać jak najprędzej górnikiem, to się to wszystko skończy, zrobię swoje i mam pokój.

H a n k a (wchodzi z ddzbankiem).

Szymuś, zbieraj się, bo was już dzwonek na cehowni woła: (naśladuje takt dzwonka) do pracy górnicy, do pracy górnicy.

S z y m u ś.

Acha górnicy, ale wozakom i ciskaczom woła: (naśladuje takt dzwonka) jeszcze czas, jeszcze czas, jeszcze czas.

H a n k a.

Poczekaj, aż dla ciskaczów osobny dzwonek zawieszą. Ale ja tu, a ojciec czeka na wodę (odchodzi do kuchni).

S z y m u ś.

Śpiew Nr. 2.

Jestem górnik, tem się szezycę,
Ze ma praca tak słynie,
Gdziekolwiek się myślą rzuce,
W każdej bywam krainie.

Węge, kruszce, to skarb drogi,
Moją ręką dobyty,
Dla każdego owoc błogi,
Wśród bywa użyty.

Choć przy pracy łożę życie,
Lecz pociechę mam z tego,
Zem potrzebny w całym świecie,
Ku wygodzie bliźniego.

Więc nuceę piosnki codzienne,
Do górników patronki,
Choć pod ziemią to przyjemnie,
W pieczy świętej Barbarki.

Lampa, kilof i noboje,
Młot i świder przy boku,
Dziela ze mną wszystkie znoje,
Nie odstąpią mnie kroku.

W tyle skóra połyskuje,
Czapka z piórem na przodzie,
Gdy się górnik wymustruje,
To jak żołnierz w paradzie.

Choć przy pracy jestem czarny,
Choć mi słońce nie świeci,
Lecz mój postęp jest nie marny,
To górnika zaszczyci.

A więc „Szczęść nam, szczęść nam Boże,
Niech nam serca tak czują,
Wykrzyknijmy, jak kto może:
„Górnicy, niechaj żyją!“

SCENA 6.

S t a ś, S z y m u ś.

St a ś (wchodzi przez środek, ubrany do pracy, torba,
róg i t. d.

Niech będzie pochwalony!

S z y m u ś.

Na wieki, witajże Stasiu (podaje rękę).

St a ś.

Bóg zapłać! Czy ojciec już poszedł do pracy?

S z y m u ś.

Nie, zawołam go (odchodzi na lewo).

St a ś (sam).

Gdzie moja Hanusia, nie widać jej; przecież muszę słówko z nią pomówić. Czas krótki, za trzy Niedziele wesele. Ba, wesele, a nie wiem, czy rodzice dozwolą, kiedy jeszcze nie mam słowa. Właśnie chciałem ją zapytać, co ojciec mówił, gdy mu wczoraj oświadczyłem, że w przyszłą Niedzielę będę prosił o rękę Hanki. Ale mi to tak ciężko (drapiąc się w głowę). Cicho, ktoś nadchodzi.

SCENA 7.

St a ś, H a n k a (wchodzi z lewej).

H a n k a.

Witajże Stasiu (podaje rękę).

St a ś.

Bóg zapłać, jakże się masz, zdrowo, dobrze?

H a n k a.

Dzięki Bogu, dosyć, a matusia twoja też zdrowa?

St a ś.

Dziękuję za pytanie, zdrowa i cieszę się, że cię wkrótce dostanie za.... za... za..., ty wiesz za co.

H a n k a.

Stasiu, ty żartujesz.

St a ś.

Hanusiu nie, ale mi to tak ciężko wymówić. Po Niedzieli, to ci powiem.

H a n k a.

Dla czego nie dzisiaj?

S t a ś.

No, Hanusiu nie trap mnie, bo mi to nie idzie, aż będę miał pozwolenie od twoich rodziców (na stronie). Ach, jak mi serce mocno bije.

H a n k a.

A na co? (na stronie). Muszę udawać, że go nie rozumiem.

S t a ś.

To jest taka wielka rzecz, że od niej zawisło moje i twoje szczęście i to aż do śmierci.

H a n k a.

Stasiu, przecież w loteryą nie gramy, żebyśmy społem szczęścia szukali.

S t a ś (na stronie).

Nie rozumie mnie (głośno). Nie mówię o szczęściu w loteryą, tylko o naszym szczęściu. A to szczęście jest w twojej mocy, jeżeli powiesz, że mnie kochasz.

H a n k a.

Kocham ciebie! No, czy już teraz dobrze?

S t a ś.

Dobrze Hanusiu, a w Niedzielę czy też tak powiesz, gdy cię zapytam wobec rodziców?

H a n k a.

Tak, jeżeli będzie potrzeba i dziesięć razy. Lecz dla czego prawie w Niedzielę?

St a ś.

No, dosyć tego; ale jeszcze jedno słówko. Mówił wczoraj ojciec co o mnie?

H a n k a.

Mówił to samo, że w Niedzielę tu przybędziesz, i będziesz prosił. Więcej nie słyszałem, bo poszłam ojcu po wodę. Zresztą ojciec się nie będzie sprzeciwiał naszemu pobraniu, ale matka mówi tak i tak.

St a ś.

Jakto mam rozumieć tak i tak? To znaczy, że matka mnie nie lubi, ponieważ jestem biednym robotnikiem.

H a n k a.

I to nie, tylko że jesteś górnikiem. A matka mówi, że górnik zawsze stoi jedną nogą w grobie. I gdyby ciebie zabiło, nie radaby mnie widzieć wdową.

St a ś.

Przecież wszystkich górników nie pobije. Wielu ich to obchodzi 50-letni jubileusz pracy w kopalni; i przez ten przeciąg czasu nic im się złego nie stało. A pamiętasz jak ks. proboszcz w przeszłą Niedzielę powiedział na kazaniu, że bez woli Boga włos z głowy nie spadnie.

H a n k a.

Ja matusi też tak perswaduję. Ale Stasiu, czas na szychcę, daj także ojca zapisać, ojciec pójdzie prosto na szyb.

St a ś.

Masz racją, zostań z Bogiem (podaje rękę i odchodzi przez środek).

H a n k a.

Z Panem Bogiem; szczęśliwej pracy! (do publiczności). Dobry chłopak, i sama za to nie mogę, że go kocham. On taki nie śmiały, mówi tak grzecznie, nie tak, jak dziejsi chłopcy, gdy się zejda z dziewczętami wiodą mowy, że aż uszy potrzeba zatykać. Już będzie 8 lata na odpust, jak się poznaliśmy, gdy mi kupił książkę modlitewną; ale żeby pisał choć jakie słówko nieprzystojne, — nie, spaliłby się od wstydu. Przecież raz odważył się powiedzieć, że mnie kocha, i na Niedzielę będzie prosił o moją rękę. Dobrze tak, lepiej że się to raz skończy, nie będą mieć plotkarki tyle do gadania, a dziewczyny do zazdrośczenia.

SCENA 8

H a n k a, J u l i a n n a.

J u l i a n n a.

Hanko, pójdziemy na pole kartofle obsypać, skoro do roboty wyjdą; biegaj do kowala po kopaczkę.

H a n k a.

Staś już też poszedł, i da w cechowni ojca zapisać, lecz bardzo smutny, że go nie lubicie, ponieważ jest górnikiem.

J u l i a n n a.

Prawda, że górników nie lubię, i ty możesz tego pożałować.

H a n k a (na stronie).

Wcale nie wiem, co tu począć, kiedy Stasia kocham (odchodzi środkowemi drzwiami).

Julia n n a.

Dziewczyna za nim oszalała i basta. Może, że to inaczej będzie, i ta rzecz inny obrót weźmie, gdy mu się mój stary za skarbnika w kopalni przedstawi, i będzie pytał o Hance. A gdy Staś oświadczy, że go Hanka więcej kocha, to wszystko przepadło. Ojciec przejdzie na moją stronę. A zresztą jeszcze go nie ma.

SCENA 9.

Julia n n a, Jan (ubrany do pracy płaszcz w torbie i t. d)

Jan (śmieje się).

Ha, ha, ha, powiadam ci jak przyprawiłem brodę i wsadziłem kołpak na głowę, wyglądam akuratnie jak skarbnik. Jak mnie w tym ubiorze Staś zobaczy, to choćby miał w ostatnim kąciku serca tajemnicę, to ją wyjawia.

Julia n n a.

Bardzo ciekawam, co ci też powie.

Jan.

Miej cierpliwość, wszystko ci opowiem, a teraz zostań z Bogiem.

Julia n n a.

Z Panem Bogiem, chleb wzięłeś?

Jan.

Wziąłem (odchodzi środkowemi drzwiami).

Julia n n a.

I poszedł, a kto wie, czy powróci, albo czy go nie przywiozą zabitego. Prędzej nie ochłonę z trwogi, dopóki go po szychcie znówu w domu nie ujrzę. I to

tak idzie dzień za dniem, a człowiek nie przestaje się lękać. A to naszej dziewczusze tylko się roi w głowie iść za górnika. Prawdę mówiąc, nie mam się źle za moim starym, bo nie jest pijakiem, tylko porządnym i pracowitym, a zresztą za górnikiem ma się żona lepiej, niż za hutnikiem. Nie potrzebuje nosić śniadania ani obiadu, gdyż się mężowi nie opłaci tak wysoko po drabinach wyłazić. Na przykład dzisiaj: on wyszedł, a ja mam spokój przez cały dzień, dopiero przed wieczorem się ugotuje, i cała domowa praca skończona. Nie! pracowita kobieta ma zawsze co do czynienia, kiedy tylko chce; i nie ma czasu w dzień roboczy siedzieć przed sienią w cieniu i przechodniów obgadawać. Moją Hankę muszę wydoskonalić na dobrą gospodynię. Zaraz wychodzimy na pole, aby się też i w polu nauczyła pracować. Mój ojciec żadną miarą nie pozwoliłby mi iść do fabryki albo kopalni do pracy, on mówił, że dziewczyny po większej części przy tych robotach się tylko zepsują, i domowego gospodarstwa wcale się nie uczą. Ale gdzie chłopak (woła za scenę). Szymuś, Szymuś już czas, weźmij sobie chleb i blachówkę z kawą.

S z y m u ś (za sceną).

Chleb posmarowany?

J u l i a n n a.

Tak, grubo masłem (do publiczności). Chłopak nie chce sucho chleba jadać, ale nie dziw, ciężko się napracuje, i mam też czem posmarować, kiedy nam się siwula ocieliła. Jako dobrze, żeśmy za dobrych czasów parę groszy uściskali, i tę oto chałupkę i 6 mórg gruntu kupili, z których krowę wyżywimy. Dzi-

siaj już nie idzie nic odłożyć, bo zarobki lichsze, kiedy wszystkich szycht nie robią. A gdy robotnik ma jeszcze kilkoro dzieci, to się musi oglądać na wszystkie strony, aby użyć.

SCENA 10.

Juliana, Szymuś (ubrany do pracy).

Szymuś.

Już torba napełniona, olej w rogu, to się jako przerobi. Ale dzisiaj wcale nie mam ochoty iść do pracy.

Juliana.

To zostań w domu.

Szymuś.

Coby też ojciec powiedzieli, przecież nie jestem chory, a szychty szkoda; w prawo marsz! (odchodzi).

Juliana.

Z Panem Bogiem, Szymusiu (do publiczności).
Dobre chłopczysko, już pracuje rok i pięć miesięcy, a jak przyjdzie dzień wypłaty, broń Boże, żeby on sobie choć fenyg zostawił. Sąsiadka żali się na swojego, że ją oszukuje, ale ona sama winna. Gdy pierwszą wypłatę przyniósł, z radości nie wiedziała, co począć. Mówiła: Chłopcze, kup sobie zegarek, żebyś się też mógł pokazać pomiędzy kamratami. W Niedzielę mu dawała parę czeskich na cygary i na piwo, a żeby się też ucieszył. I tak pomału, pomału, aż się teraz synalek cieszy, a matka płacze. Pokazałby mu mój stary, z czego się grabie robią. Albo Wojciechowie, — co mają z swojego Michała, który odsiaduje dwu-letnią

kare, a któż mu do tego dopomógł? Aż mnie wstyd powiedzieć: matka! Pokryjomu, co ojciec nie widział, dawała mu pieniądze na muzykę i tańce, a Michałek hulał, aż się na dobrze rozhulał, a gdy mu pieniędzy zabrakło, zapomniał nawet o siódmym przykazaniu Boskiem. Dzisiaj matka płacze, ale już za późno. Czytałam w pewnej książce, że pewna matka źle wychowała swego jedynaka, i za różne przestępstwa i zbrodnie został osądzony na śmierć przez powieszenie. Gdy stanął pod szubienicą, zapytał go sędzia, czego by sobie jeszcze przed śmiercią życzył. Ów zbrodniarz prosił, aby mu pozwolono własnej matce słówko do ucha powiedzieć. Sędzia zawołał ową matkę, która się zalewała łzami. Przystąpił do niej syn i nachylił się, jakby chcąc jej coś do ucha powiedzieć. Ale o zgrozo, uchwyciwszy ucho zębami, odgryzł je i zawołał: Tyś jest winną, że ginę tak haniebną śmiercią, boś mnie źle wychowała. — Więc się wcale nie dziwię, że mój Janek taki ostry na dzieci. On dzieci kocha, ale one o tem nie wiedzą, aby miały bojaźń przed ojcem. Hanką powraca, pójdziemy na pole.

(Zasłona spada).

Akt II.

(Scena przedstawia naszybie, na prawo szyb, z którego wystaje drabina, na lewo ławka, w głębi łopaty dziewcząt).

SCENA 1.

Stach z Walkiem (siedzą na ławie, paląc fajki, Francla, Hedwig, Gustla.

Śpiew Nr. 3.

Francja (śpiewa), Hedwig, Gustla (tańczą).

Wczoraj na muzyczce,
Byłyśmy w karczmie, do rana
my tańczyły, z chłopcami się
cieszyły.

Mówią dzisiaj ludzie,
Ze ich bieda skubie,
Na złość biedzie zrobimy,
Gdy tańcować będziemy.

Więc użyjmy świata,
Póki służą lata,
Bo jak już raz pomrzemy,
Tańcować nie będziemy.

Francja.

Moje złote, wczoraj się wytańczyłam na muzyce
i dopiero o trzeciej rano powróciłam do domu.

Hedwig.

Ja, moje kamratki, wczoraj nigdzie nie byłam,
bo już o szóstej wieczorem przyszło pięciu chłopaków,
przyniesli beczkę bawarskiego piwa, 15 litrów wina, i
piliśmy aż do drugiej godziny w nocy. Matka się na-
piła i poszła spać już o dziesiątej, a my jeszcze dalej
labowali.

Gustla.

Ja wczoraj byłam na koncercie w lesie, i dopiero-
śmy ściągli Johann, Franc i Fric o godzinie dwuna-
stej w nocy do domu. I jeszcze dłużej byli byśmy
zabawili, ale tam niedobre żandarma przyniosło, który

nas do domu wypędził. Oj! gdyby to zawsze była Niedziela.

Francła.

Gustla, widziałaś wczoraj moje rękawiczki?

Gustla.

A ty widziałaś moje nowe pióro na kapeluszu?

Francła.

Widziałam, to samo, co ma Żeni od nadleśniczego.

Hedwig.

Po wypłacie kupię sobie nowy parasolek, taki, jak to teraz miewają po nowej modzie, jak ma Sara od Rosenbauma.

Francła.

Ja sobie kupię na suknię, i dam sobie uszyć po nowej modzie z „krauzą.“

SCENA 2.

Ci sami, Bronisława (z łopata, którą także w głębi stawia).

Bronisława.

Dzień dobry, przyjaciółki!

Francła.

Dzień dobry! Cóżes taka smutna? Czy ci szac (zalotnik) odkazał.

Bronisława.

To nie, ale mi się wcale nie podoba do roboty chodzić, pójdę na służbę.

Gustla (śmieje się).

Hi! hi! hi! ty głupia, to lepiej idź do więzienia; będziesz mieć każdy dzień godzinę do południa, a godzinę po południu wolności, na służbie rób od nocy aż do nocy. A tak, zrobisz szychcę i masz wolność. Niedzielę masz całą wolną, możesz iść, gdzie ci się podoba.

Bronisława.

Już to dobrze, ale czegoś się nauczysz? Łopata robić i nie więcej; o domowym gospodarstwie nie masz żadnego pojęcia.

Hedwig.

Jak się wydam, to się wszystkiego nauczę.

Bronisława.

Nie skoro na starość wędrować; jeżeli się za dziewczyny nie nauczysz, to za mężatki wcale. A zresztą więcej zyskam na służbie, jak przy robocie.

Francja.

Jeśli bardzo wiele, to dostaniesz na miesiąc 6 marek, a na dzieciątko materyi na spodnicę i pół kopy orzechów. Hi! hi! hi! (śmieje się).

Bronisława.

Policz, jeżeli ci więcej zostanie. Przecięciowo robimy 22 szychty po 90 fenygów na szychcę, to uczyni na miesiąc 19 marek 80 fenygów, z tego ci odciągną do kasy chorych, na znaczki do przyklepiania na starość. I cóż ci mogło pozostać, gdy w przeszłym roku wiertelik kartofli kosztował 70 fenygów, a ćwierć centnara mąki na chleb 5 marek. A gdzież przydziełek i obuwie?

G u s t l a.

Patrzcie, jaka nauczycielka; to idź na służbę. Jak ci pani wypali w mordę, to pocałuj rękę i mów jak moskal, gdy mu się co oberwie: „dziękuję pani za wyćwikę!”

B r o n i s ł a w a.

Nie, tego się nie lękam. Trzy lata służyłam w jednym miejscu, a pani mi złego słowa nie mówiła, bo zawsze zrobiłam moją robotę. I mogę powiedzieć, że pani mi była niby drugą matką, w wieczornych chwilach uczyła mnie szyć, haftować i innych kobiecych robót.

F r a n c l a.

Jużcić bym też rozumu nie miała wieczorem robić; dosyć się przez dzień napracuję, wieczorem idę na przechadzkę, a w Niedzielę na muzykę.

B r o n i s ł a w a.

Więc się nie dziw, że pani nie była z ciebie kontenta.

F r a n c l a.

Nie, siedzieć jej będę w domu?! Ani się kozie nie śni; potrzeba używać świata, dopóki służą lata!

S t a c h (do Walka).

Kmotrze, już nie mogę wytrzymać (głośno do dziewcząt). Mogłybyście się wstydzić! Takie młode dziewczęta, a nie mają nic w głowie tylko muzyki, spaceru, stroje i rzeczy światowe. Może sobie ksiądz na kazaniu płuca wygadać, wam jednym uchem wesznie, a drugim wylezie. Wstydźcie się, żeście są nawet katoliczkami.

Francia (śmieje się).

Hi! hi! hi! patrzcie stary Stach się poprawił i zaczyna nas nauczać (do Stacha). Stachu, na lewo „reilendra“.

Stach.

Tak, my też potańczyli po mału obracanego poloneza, nie tak, jak wy dzisiaj. Skoro muzyka zagra, skaczecie jak wrony, i musicie dawać pozór, aby wam się płuca nie urwały. A zresztą wam już nawet muzyki nie potrzeba, tylko gdyby wam kto na kijach zagrał, to już lecicie jak muchy na lep. Lepiej gdybyście się pouczyły, jak się zaparżka smarzy, chleb piecze, bo wiem, że nie umiecie, a toby wam było pożyteczniejsze.

Bronisława.

Prawdę mówicie, Stachu; od dziś zacznę dni wyrabiać i pójdę na służbę.

Stach.

Dobrze, tylko bym ci radził, wybierz sobie służbę, gdzie ci będzie wolno w Niedzielę na mszę św. chodzić i takie państwo, gdzie nie będą obrażali twych uczuć religijnych. Wierzaj mi dziewczyno, że na niektórej służbie bardziej się musi dziewczyna strzedz, aby nie utraciła swojej czystości, aniżeli przy robocie.

Walek (do dziewcząt.)

Gdzieindziej też pracują dziewczyny, ale nie są tak lekkomyślne, jak na naszej kopalni.

Gustła.

A cóż wam do nas, patrzcie swojego, nie korzucha czyjego (śmieje się) hi! hi! hi!

W a l e k.

Gdy słyszę wasze rozmowy, przypomina mi się prawdziwe zdarzenie, które wyczytałem w gazecie. Pewna robotniczka otrzymała po rodzicach 1000 mrk. majątku i poszła za męża; więc prosto od łopaty stała się gospodynią, ale o gospodarstwie domowym miała tyle pojęcia, co wy. Nadeszły święta; naturalnie trzeba kołaczy upiec. Ale jak, kiedy w życiu nie widziała, jak się kołacze pieką. Od czego jednak rozum? Kupiła prędko kucharską książkę i dalejże z książki ciasto na kołacze przyrządzać. Wszystko się udało, kołacze upieczone. Mąż powraca z roboty, żonka chce się pochwalić, jak dobrych kołaczy napiekła, przynosi mu kawałek, aby skosztował. Cóż to? Przecie do ciasta dodała funt rodzenek, 2 funty masła, 3 funty cukru i pół funta migdałów, a mąż się jakoś otrząsa, i mówi: „Ależ, moja kochana, te kołacze czuć śledziami?” „Tak, mój drogi,” odpowiada żona, „pokrajałam trzy na drobne kawałki, bo tak stało w książce”. „Ej, co ty mówisz! Przecież to nie podobna, aby do kołacza śledzie krajać. Żonka chcąc postawić na swoim, przynosi książkę, aby mężulka przeświadczyć i pokazuje. I coż się pokazało? Oto dwie karty w książce były do kupy zlepione: na pierwszej stronie stał opis o kołaczach, lecz tylko do połowy, a na czwartej stronie była opisana sałata ze śledzia.

S t a c h.

Słyszaliście! Spamiętajcie to sobie!

W a l e k.

Jeszcze nie koniec na tem; w odwiedziny przysłała jej przyjaciółka. Mąż opowiadał, że jego żona

napięła kołaczy z śledziami. Przyjaciółka mówi: „Jak też można być tak nierozsądną i krajać śledzie do ciasta!” I to tak obraziło żonę robotnika, że całą złość wylała na swoją przyjaciółkę. Z przyjaciółki stała się nieprzyjaciółką i oskarżyła żonę robotnika przed sąd o obrazę. Sąd uznał żonę robotnika winną i skazał ją na 10 marek kary i ponoszenie wszystkich kosztów. A z kołaczami nie wiem, co się stało. Pewnie je zostawili na post, bo były z śledziami.

Stach.

A dyć to szczerutką prawdą! Wiele to takich gospodyń, co ani żuru jak się należy nie potrafią ugotować. A igłę, to tak uchwycają, jak niedźwiedź żelazny drąg.

Bronisława.

Prawdę mówicie Stachu. Gustla mnie się pytała, czy się kapusta razem z grochem kisi.

SCENA 3.

Ci sami, Staś, Filip (ubrani do pracy).

Francla.

Dzień dobry Stasiu! Jakże, będziesz mnie prosił na twoje wesele.

Staś.

Na jakie wesele?

Francla.

Patrzcie! Niewiniątko, jeszcze się będzie pytał; myślisz, że nie wiemy?

Gustla.

Stasiu! o mnie też nie zapominaj.

Hedwig.

A czy ja od macochy?

Stas.

Jeszcze wesela nie ma, a jak będzie i drużbowie was zaproszą, to pójdziecie, ale wątpię. (Zapala lampę, spuszcza się do szybu, Filip spuszcza się za nim).

SCENA 4.

Ci sami, Stach.

Stach.

Same się prosicie, a nikt was nie chce; ładne dziewczęta, same się na wesele wpraszą.

Bronisława.

Stachu, nie mówcie już, bo mi już aż ciarki po sumieniu przechodzą.

Stach.

Ciebie to nie obchodzi, bo każdy cię zna, że jesteś uczciwą dziewczyną.

Francela.

Stachu, wstrzymajcie się ze słowami, bo już dosyć tego, bo....

Gustla.

Bo chwycimy starego dziada, i rozłożymy, przytrzymamy....

Hedwig.

I skórę mu wygarbujemy.

Stach.

Hola! pemału, — nie ma z was strachu.

Jan (wchodzi ubrany do pracy, w torbie płaszcz).

Szcześć Boże kamraci! Co tak z temi dziewczętami dysputujecie? Stachu! Pewno masz na którą oko? Przecież się nie będziesz żenił na stare lata.

Stach.

Panie odpuść! Choćby miała taki worek pieniędzy jak ona wielki, tobym ani na nią nie spojżał.

Jan.

A to czemu?

Stach.

A dyć to lekkomyślna dziewczyna! Ona tylko myśli o muzyce i zalotnikach. Choćbym miał dziesięciu synów, nie pozwoliłbym im żadnej z tych pojąć za żonę, oprócz Bronisławy.

Jan.

Masz rację i ja jestem tego zdania. Moją córkę wolałem odać na służbę, jak ją posłać do roboty. Bo przy tych robotach bardzo wiele dziewczyn się zepsuje.

Walek.

O chłopaków się więcej starają. Gdy idzie na naukę za stolarza albo kowala, musi chodzić wieczorami albo w Niedzielę do szkoły uzupełniającej. Ale dziewczyna, skoro opuści szkołę zaraz idzie do mularzy, potem na kopalnię albo do fabryki. Jeżeli matka się stara, co wpoić z domowego gospodarstwa, no, to jeszcze jako tako. Ale jeżeli matka sama nic nie umie, to bieda i bieda aż do końca. Takiej żonie przyniesiesz każdy miesiąc i 100 marek, to i tego będzie mało i z długu nigdy nie wyleziesz. I choćbyś jej fu-

rami woził, to ona potrafi wszystko w fartuchu wynieść. A jak przyjdzie dzień wypłaty, to się drzwi nie zawierają przed dłużnikami. Lecz nic dziwnego, kiedy w naszych czasach „bórg“ (kredyt) dostał pomięszania zmysłów. Więc słusznie można powiedzieć, że od wychowania dziewcząt, zawisł dobrobyt rodziny, podstawa państwa i Kościoła.

J a n.

To święta prawda.

S t a c h.

Mnie się zdaje, żeby to szło i po kopalniach i fabrykach zaprowadzić, na przykład w cechowni urządzić, chociaż tylko latową porą naukę. Sprowadzić nauczycielkę, a niechby wieczorami od wpół do piątej do godziny wpół do siódmej dziewczyny ćwiczyła w robotach kobiecych; przecieźby się czegoś nauczyły.

J a n.

Słyszałem, że na pewnej kopalni tak urządzili, ale ani połowa dziewcząt nie chodzi na naukę; uciekają do domu, chociaż mają wszystko bezpłatnie. Inną razą pomówimy więcej, albo w Niedzielę na zgromadzeniu, bo czas do pracy (zapala lampę i spuszcza się do szybu).

SCENA 5.

Dziewczyny, Walek, Stach, Horn.

H o r n (wchodzi).

Do stokroćset tysięcy batalionów, wy dziewy jeszcze nie robicie, czy to jeszcze nie czas do roboty?! Człowiek już nie wie, gdzie mu łeb stoi. Gustla pój-

dziesz na wozy węgle rozgrzebać; Hedwig, weźmiesz taczkę i będziesz „bergi“ do zawaliska odwozić, a wy dwie wozy odciskać.

Bronisława.

Panoczku, od dziś zacznę dni wyrabiać.

Horn.

Do kroć set tysięcy bomb; gdzie zaś pójdziesz? Myślisz, że cię gdzieindziej za szkło wsadzą.

Bronisława.

Do roboty nie pójde, tylko na służbę.

Horn.

No to idź do miliona, tylko mi się już raz na oczy nie pokazuj, bo ci więcej roboty nie dam (do dziewcząt). A pamiętajcie, że dzisiaj przyjdzie nowy inspektor, jak mi będziecie stać jak woły, a nie będziecie robić, to was potem stłukę na miazgę. Albo ty, taniecznico, (do Franci) nie daj się tylko podczas szychty do skakania, bo wiesz, że nie żartuję. A teraz dalej do swojej roboty! (dziewczyny biorą łopaty i odchodzą).

Horn (do Stacha i Walka).

Wy obaj zostańcie tu na szybie, tylko pamiętajcie, że przyjeżdża nowy inspektor (odchodzi z dziewczętami).

SCENA 6.

Stach, Walek, Kręcipięta.

Walek.

Żeby nas też Pan Bóg obdarzył dobrym i sprawiedliwym urzędnikiem.

S t a c h.

Miejmy nadzieję; po złem, następuje dobre (spogląda). Patrz! jakiś pan przychodzi.

A g e n t (wchodzi z paczką gazet).

Dzień dobry bracie; co nowego słyszeć?

S t a c h (zdejmuje czapkę.)

Nie nowego, wszystko po staremu (kłania się). Dopraszam się łaskawego pana, czy pan jesteś tym nowym naszym przełożonym?

A g e n t.

Nie, bracie, tym nie jestem, tylko posłany jestem z Berlina, aby wam biednym, uciemiężonym robotnikom doradzić i was oświecić.

W a l e k.

Panoczku, toście z nieba?

A g e n t.

Tylko się dajcie zapisać pod nasz sztandar, na którym stoi nasze hasło: „Za wolność i równouprawnienie!” Wypowiedzieliśmy wojnę szlachcie, chlebobdawcom i duchowieństwu.

W a l e k.

Panoczku, nic z tego; nasze kości już za stare na wojnę i broni nie uniosą.

A g e n t.

Nie taką bronią zamyślamy walczyć, tylko to jest nasza broń (wskazuje gazety). Tę rozszerzajcie pomiędzy kamratów, a to jest nasza gazeta robotnicza (podaje).

S t a c h (ucieka z ręką i spluwa).

A... a... a... to pan socyalista, a niechże cię geś kopnie tylnią nogą. Żal mi pana, że się pan tak daleko pofatygował, ale u nas tu na Górnym Szląsku nie zrobicie interesu z waszemi zachciankami socyalistycznymi.

S t a c h.

My Górnoszlązacy przywiązani jesteśmy do naszej wiary świętej i do naszej mowy, a dopóki w sercach ludu tkwią te klejnoty, nic tu na Górnym Szląsku nie zdziałacie.

A g e n t.

To my o tem dobrze wiemy, i my się też będziemy starać, gdzie się tylko sposobność zdarzy, aby wasz język, to jest wasza mowa była zachowaną. No, a wiara to jest rzecz prywatna, niech każdy wierzy, w co mu się podoba.

S t a c h (śmieje się).

Ha, ha, ha, panoczku, to wy jak mi się zdaje i w Boga nie wierzycie.

A g e n t.

Nie, bo go jeszcze nie widziałem.

S t a c h.

To wam pewno wasi wódczy tak powiedzieli?

A g e n t.

Nie, to mi mój zdrowy rozum powiada i w to wierzę, co widzę.

S t a c h.

Panoczku, toście wy głupi, jak mój pantofel; waszemu rozumowi wierzycie, a jeszczeście go nigdy nie widzieli (śmieje się) ha, ha, ha.

A g e n t.

Skonczmy o religii. Jak powiedziałem, jest to rzecz prywatna, a pomyślcie ile to kopalnie ciągną zysku z waszej pracy, a wy co macie z tego? My wszyscy jednakowo stworzeni i wszyscy my sobie równi, więc nam się to wszystkim należy, a nie jednemu. Czy potrzeba przełożonych, dyrektorów, inspektorów, sztajgrów i t. d.

W a l e k.

Gdybyście tylko tak głupio nie bajali. Już w starym testamencie postanowił Mojżesz przełożonych, gdy prowadził lud izraelski do ziemi obiecanej; uczynił dziesiątników, setników i tysiączników. Tysiącznikom wydawał rozkazy, ci setnikom, a setnicy ludowi. Lud był obowiązany rozkazów owych nowo obranych przełożonych słuchać, i przez to zwierzchnictwo wprowadzony został porządek w obozie izraelskim.

A g e n t.

To było w starym testamencie, a dzisiaj jak się z wami obchodzą wasi duchowni, wasi księżoszkowie ciągną z was, choćby ostatni grosz.

S t a c h.

Lepiej nie mówcie o naszych księżach, a osobliwie tu w naszych okolicach fabrycznych; ci mają tyle do czynienia, że już pracy podołać nie mogą. A wy socjaliści uderzacie na naszych duszpasterzy, żebyście nas prędzej mogli dostać w swoje pazurki. Gdyż nas już pismo św. ostrzega; że najprzód uderzą w pasterza, aby się owce rozproszyły.“

W a l e k.

Wiecie panoczku; u nas na Górnym Szląsku, ci

których wy pod wasz sztandar dostaniecie to tylko plewa, i to są ci o których ewangelia powiada: „ponieważ nie jesteś ani zimnym ani ciepłym, więc cię wypluję.“ Więc usłuchajcie mnie: szkoda waszej fa-tygi.

A g e n t.

Bo tu lud ciemny, i nie da się oświecić.

S t a c h.

Ach, ach, coście wy socjaliści za światłością, a dyć ja wam po prostu powiem, że sami nie wiecie, czego chcecie. Chcielibyście urządzić jakieś nowomodne państwo, bez religii, a słuchajcie; przecie podstawą tronów, podstawą dobrobytu państwa, i podstawą wszelkiego porządku w świecie jest religia. Dla tego nasz zmarły cesarz Wilhelm I po owym nieszczęśliwym zamachu na życie jego powiedział: „Chcę, aby ludowi religia zachowaną była.“

A g e n t.

Tylko wiercie, a inni zaś ciągną zysk, a potem się z was wyśmieją.

W a l e k.

Jeżeli się kto z nami nie obchodzi podług porządku chrześcijańskiego, musi oddać rachunek, a nie przed sędzią światowym, lecz przed Bogiem. A gdy nam robotnikom staje się krzywda, to mamy prawo, i na drodze prawnej możemy prędzej coś osiągnąć.

A g e n t.

Na was najwięcej będą zważać; nie będzie jeden to będzie drugi w jego miejsce.

S t a c h.

Dla tego też jest źle pomiędzy robotnikami, że nie ma jedności i zgody, i nieraz jeden drugiego oczernia przed przełożonym, aby się przychlebić, i wiele mamy takich Judaszów pomiędzy robotnikami.

A g e n t.

Boście nie oświeceni.

W a l e k.

Wynoś się z twoją światłością, bo jak cię palnę helmiskiem w łeb, to ci się aż w mózgu oświeci (chce go uderzyć).

A g e n t (tyłem się cęfa i ucieka).

No, no, no.

S t a c h (podskakuje za nim).

A ty, poderwinogo.

SCENA 7.

S t a c h, W a l e k, H o r n, potem dziewczyny.

H o r n (chwyta się za głowę, biega).

Do kroć set tysięcy batalionów, z dziewczynami nie do wytrzymania! Nie dają pozorów, zwały wóz do dołu. Ale coś dziwnego, kiedy muzyka i zaloty w głowie, a niechże cię wciurnoścy wezmą. Idźcie obaj, aby go wydobyć.

S t a c h.

W którym miejscu?

H o r n.

W zawalisku, weźmijcie z pod maszyny drągi.

S t a c h.

Dobrze! (odchodzi z Walkiem).

H o r n.

Nie do wytrzymania z tymi dziewczynami, taki świat zepsuty, że już rady nie ma.

F r a n c i a (wchodzi).

Panoczku, wóz nam się wykoleił, dajcie nam pomoc.

H o r n.

Do sto kroć set tysięcy granatów, lepiej żeby nigdy nie było Niedzieli, bo w Poniedziałek śpicie i nie widzicie, gdzie macie jechać.

G u s t l a (wchodzi).

Panoczku, gdzie mamy te drobne węgle wywozić?

H o r n (złośliwie pokazuje).

Tu, tu, na moje plecy (do publiczności). Cały tydzień wozila w jedno miejsce, a dzisiaj mnie się przyjdzie pytać. Ale nie dziw, od tańca jej się i w głowie przewraca.

H e d w i g (wchodzi).

Panoczku, z Bronistawą robić nie będę, bo to taki mruk; ani z nią pogadać, ani pośpiewać, ja z nią robić nie będę.

H o r n (złośliwie).

Do milion kroć set tysięcy, nie gorszcie mnie, bo jak złapię kija, to wam wszystkie żebra połamię, a wynoście się natychmiast do roboty. (Dziewczęta uciekają, Horn wybiega za nimi z kijem).

SCENA 8.

S z y m u ś, A n t e k.

S z y m u ś.

Już się wszyscy pospuszczali, nikogo nie widać,
pewno my będziemy ostatni.

A n t e k.

Ale gdzie tam, jeszcze widziałem chłopaków i
górników w domu.

S z y m u ś.

Bracie, wczoraj byłem na zgromadzeniu towa-
rzystwa św. Alojzego i słyszałem piosenkę o górni-
kach.

A n t e k.

Znasz melodyą?

S z y m u ś.

Tak, nawet spamiętałem sobie kilka wierszy,
słuchaj:

Śplew Nr. 4.

Hej górniczy, złóście troski,
Żyjmy tak do woli Boskiej,
Żyćcie z nami, a my z wami,
Wy robicie nam.

(A n t e k razem powtarza).

Kiedy górnik nie nakopie,
Zkądbyś wziął pieniędzy chłopie?
On się poci, nas bogaci,
Złoto kopie nam.

Zkądże chłop ma pług dō roli,
I żelaza do swej woli?
To górnicze potne lice,
Dobyły go nam.

Zkąd ma król miecze i bronie ?
Jeśli nie z górnika dłonie,
On pracuje, bowiem czuje,
Trzeba bronić kraj.

Więc górnicy pięknie proszę,
Dobrywajcie z ziemi grosze,
My nie mamy, co wam damy,
Jak Bóg zapłać wam !

A n t e k.

Ach, to ładna piosenka, na Niedzielę pójdę i dam się zapisać.

S z y m u ś.

To jeszcze nie cała, i wiele jeszcze innych śpiewamy, i różnych rzeczy pożytecznych się nastuchamy, bracie. Jest to zabawa, której się nie mogą doczekać. (Zapalają lampy i spuszczaają się po drabinie do szybu).

Zasłona spada.

Akt III.

(Scena przedstawia przodek, czyli miejsce, gdzie górnicy węgle kopią, na prawo widać ganek, w głębi oparta drabina).

SCENA 1.

S t a ś, Filip (robiąc znak krzyża św.)

S t a ś.

A więc w Imię Boże, zaczynajmy. Filipie, weźmijcie drabinę i podszukajcie, czy wszędzie bezpiecznie, i czy co nie wisi; tymczasem będę wiercił dziurę.

Filip.

Gdy Jan przyjdzie, uda się po patrony. Tylko wybij dziurę dosyć głęboką, abyśmy nasz „col“ wydali (przystawia drabinę, bierze kilof i z drabiny puka).

St a ś.

Przecież to jako pójdzie; dziś Poniedziałek, a przeto mamy nowe siły.

Filip (puka).

Bracie Stasiu, tu mocne wszystko jak mur, i śmiało, bez obawy, możemy pracować (schodzi z drabiny).

St a ś.

Kamraci nocni mocno zabudowali.

Filip.

Teraz pójde po wodę, pić mi się chce. Zjadłem śledzia, gdy szedłem na szychcę (odchodzi).

SCENA 2.

St a ś (sam).

Nie mam ochoty pracować, kiedy myśli pełno w głowie. Gdy Janowi oświadczyłem, że będę prosił o rękę jego córki, odpowiedział mi, że się musi namyślić, z żoną pomówić i Hanki zapytać. Mówił, że w naszych czasach wielu jest takich, którzy zaledwie na siebie spojrzą, już się żenią, i bez wszelkiego namysłu wstępują w stan małżeński; za tydzień już się biją i chcieliby się rozwieść. Hanka z Janem, jestem pewnym, że przyzwolą, ale matka będzie przeciwną (namyśla się). Wiem co zrobię, kupię jej chustę, może się udobrucha i nie będzie przeciwną naszemu związkowi. Przecież się to jako ułoży.

Śpiew Nr. 5.

Kiedy na świat rzucę okiem,
Cóż się tam dla mnie odstania?
Widzę jak się spieszonym krokiem,
Człowiek za szczęściem ugania.

Ale ta powabna mara,
Zwodzi prostego człowieka,
Gdy się do niej zbliżyć stara,
Zmienia postać i ucieka.

Jednak gdy chcesz być szczęśliwym,
Nie zbywa ci na sposobie:
Kochaj bliźnich bądź poczciwym,
Znajdziesz szczęście w samym sobie.

By to szczęście wiecznie trwało,
Pracuj a nie trać nadziei,
Mądre Bóstwo wyrok dało,
Wszystko idzie po kolei.

SCENA 3.

St a ś, J a n (ubrany za skarbnika).

J a n (zmienionym grubym głosem).
Szczęść Boże przy robocie!

St a ś.

Daj Panie Boże! (ogląda się, upada na kolana i mówi na stronie). Wszelki duch Pana Boga chwali!
To skarbnik!

Sk a r b n i k.

Nie bój się; nic złego ci się nie stanie.

S t a ś (trzęsąc się ze strachu).

A... a... a..., coście wy za jedni?

S k a r b n i k.

Jestem skarbnikiem, i wiele już pewnie słyszałeś o mnie od starszych górników.

S t a ś (drżąc).

Prawda... praw... da...

S k a r b n i k.

Wielu już gornikom dopomogłem, znam myśli każdego człowieka i twoje. Proś i ty, o co chcesz, a jeżeli mi się twoja prośba będzie podobać, pomogę ci.

S t a ś (bojaźliwie).

Pa... pa... panie duchu, prosiłbym tylko o pomoc w małej rzeczy, jeżeliby to było można.

S k a r b n i k.

Mów otwarcie, czego sobie życzysz?

S t a ś (nieśmiało).

Kocham dziewczynę i chciałbym ją za żonę pojąć, tylko jej matka jest przeciwną, dla tego, że jestem górnikiem.

S k a r b n i k.

Znam tę dziewczynę, to jest Hanka, córka górnika Jana. Dobrze, a kochasz ją szczerze? Bo w te-
rażniejszych czasach więcej spoglądają młodzieńcy na bogactwo, aniżeli na dziewczynę.

S t a ś (do siebie).

O dziwo! On Hanke zna (głośno). Panie skarbniku, kocham ją i bardzo ją kocham.

Skarbnik.

Dopomogę ci i myśli tej matki tak nakieruję, że tylko ciebie za zięcia będzie chciała.

Stas.

Bóg zapłać!

Skarbnik.

A gdy się ożenisz, pamiętaj, abyś jej ojców szanował i czczył; w przeciwnym razie mnie tu znowu zobaczysz. Szczęść Boże! (odchodzi).

Stas.

Szczęść Boże! (wstaje i mówi do publiczności). Ach, jakże się przestraszyłem! Seree mi puka: to-mek, to-mek, to-mek. Teraz mam nadzieję, że Hanke otrzymam, starsi górnicy mówią, że skarbnik słowa dotrzymuje.

SCENA 4.

Stas i Filip.

Filip (wchodzi z konewką wody).

Stasiu, jeszcze nie ma Jana, ani szleprów, ani ci-skaczy. Już widzę, jak to ta robota dzisiaj pójdzie (spogląda na Stasia). A tobie co? bladyś, jak ściana.

Stas (bojaźliwie).

Skar... skarbnik tu był.

Filip.

Nie bajże, bo już kilka lat pracuję w kopalni, a jeszcze go nie widziałem.

Stas.

Prawda, wierzajcie mi, że tu był, i poznałem, że jest duchem, bo od razu odgadł moje myśli.

Filip.

Oj szkoda, że się oddaliłem; ciekawy byłem go widzieć.

SCENA 5.

Ci sami, Jan.

Jan (wchodzi ubrany za górnika).

Szczęść Boże kamraci! Przebaczcie mi, że się spóźniłem; miałem w domu różne rzeczy do załatwienia.

Filip.

Pewności dla waszego przyszłego zięcia rodne listy wyciągali, a jego byłby tu skarbnik wystraszył.

Jan (zdziwiony).

Co ja słyszę?

Staś.

Tak, prawdziwie, widziałem skarbnika, nawet z nim rozmawiałem.

Jan.

Jakże wyglądał?

Staś.

Miał długą, siwą brodę, surdut długi, na głowie jakiś dziwny kapelusz i lampę w ręku.

Jan.

Dziwne rzeczy!

Filip.

Żałuję Janie, że się oddaliłem i nie byłem tu przytomny.

St a ś.

Gdy pracowałem z Łuką, mówił mi, że gdy się w kopalni skarbnik pokaże, to zawsze przed jakim nieszczęściem.

Jan.

Ufaj w Bogu, On ci pomoże, a nie bądź zabo-bonny. A teraz każdy do swojej roboty, ażebyśmy „col“ wydali; ja pójdę po patrony.

Filip (spogląda do ganka).
Zdaje mi się, że sztygar nadchodzi.

St a ś (spogląda).
Tak, sztygar i jeszcze dwaj panowie.

SCENA 6.

Ci sami, inspektor, sztygar i nadgórnik.

Inspektor.

Glik auf!

St a ś, Jan, Filip.

Glik auf!

Przychlebek.

Panie inspektor, to przodek numer 5-ty. Tu pracuje trzech górników, dwóch szleprów i dwóch ci-skaczy.

Inspektor.

Górnicy! Jestem waszym nowym przełożonym. Jeżeli będziecie mieli jakie uzalenie albo prośbę, śmiało i otwarcie się do mnie uciekajcie.

Jan.

Dziękujemy panie inspektorze, i my będziemy pracować, aby pan inspektor był z nas zadowolniony.

I n s p e k t o r.

Oczy z zarobku jesteście kontenci?

P r z y c h l e b e k.

Ci tu zarabiają dosyć, można im od beczki urwać.

I n s p e k t o r (do Przychlebka).

Nie pytam pana, tylko górników (do górników).
Który z was jest starszym w tym przodku?

J a n.

Ja proszę pana inspektora. Prawda, przez ostatnie dwa miesiące zarobiliśmy jako' tako, lecz teraz węgle twardsze, więc tyle nie zarobimy.

I n s p e k t o r.

Panie sztygar, wiele w tym miesiącu tutaj ci górnicy wychodzą na szychę?

S z t y g a r (otwiera książkę).

W przodku nr. 5, gdy się odciągnie proch, olej, knapszaft, znaczki na starość, to zostaje na szychę 2 aż do 2 marek 50 fenygów.

P r z y c h l e b e k.

Panie inspektorze, oni potrafią więcej zarobić, gdyby tylko chcieli.

I n s p e k t o r (groźno do Przychlebka).

Proszę pana nie wtykać się, gdy osobiście z górnikiem rozmawiam; i to sobie na zawsze wypraszam.

J a n.

Wierzaj nam panie inspektorze, pracujemy co się starczy, żebyśmy tylko nasz „col“ wydali.

Inspektor.

Pracujcie dalej, na przyszły miesiąc, jeżeli wam się nie poprawi, przyłożymy wam od becзки.

Jan, Filip.

Dziękujemy.

Inspektor.

Dawajcie pozor. żeby wam się nieszczęście nie przytrafiło. Glick auf (odchodzą).

Wszyscy.

Glick auf!

SCENA 7.

Jan, Filip, Staś.

Jan.

Słyszeliście bracia, jak ten nasz nadgórník nos wtyka, choć mu tego nie potrzeba?

Filip.

I nie pamięta, że i on był górnikiem, i tak pracował, jak my. Dziś, ponieważ jest stopień wyżej, już o wszystkim zapominał, i zaraz na wstępie przed nowym urzędnikiem zaczyna górników oczerniać.

Jan.

Smutna to sprawa, gdy robotnik, który się na urzędnika dostanie, takim przychlebkiem się staje.

Filip.

Sztygar ani słówka nie mówił, tylko ten wścibski.

Jan.

Dziękujemy Panu Bogu, że nas obdarzył dobrym urzędnikiem. Nieboszczyk inspektor nie był złym, ale

miał tę wadę, że robotnika nigdy nie wysłuchał. Jak powiedział dozorca, czy sprawiedliwie lub nie, wszystko uwierzył. Co do nowego, zdaje mi się, że będzie inaczej. Samiśmy słyszeli, jak Przychlebka odprawił.

Filip.

Oj pamiętam bardzo dobrze, jak raz zapłaciłem 5 marek kary. Sztymar, co do Polski uciekł, mnie oskarżył, pan inspektor mu uwierzył, nie pozwalając mi ani słowa przemówić na moją obronę.

Jan.

Gdy będziemy mieli sposobność poprosimy pana inspektora, ażeby nam zaprowadził w cechowni śpiew, tak jak to dawniej było, a teraz ten piękny zwyczaj ustał.

Filip.

Miejmy nadzieję, że wiele innych dobrych rzeczy przeprowadzimy.

(Słychać trzaskanie, łamanie się drzewa, podobne do grzmotu i t. d.)

Jan (bojaźliwie).

Co to?

Filip.

Przodek numer 4-ty się wali.

Stas (spogląda do ganka).

Ganek się wali, ganek się wali, uciekajmy! (chce uciekać, biegając po scenie).

Jan (spogląda do ganka).

Zapóźno, zapóźno, przywali nas! (wszyscy się tulą w głębi trzęsąc się od strachu, po chwili).

S t a ś (spogląda do ganku).
Ganek się zawalił!

J a n.
Jesteśmy zasuci, cóż pocniemy?

F il ip (ręce załamuje).
O Boże! Boże! moje biedne dzieci.

J a n.
Bracia! jesteśmy żywcem pogrzebani.

S t a ś (składa ręce).
O moja matko, moja Haneczko.

F il ip.
Jeżeli nas prędko nie odkopią, z głodu pomrzemy.

S t a ś (składa ręce).
Boże Tobie się polecam, Twoim jestem w życiu
i w śmierci (zatyka oczy).

J a n (składa ręce).
Słodkie serce Jezusa, ratuj nas!
(Zasłona spada).

SCENA 8.

W pięć dni później.

J a n, F il ip, S t a ś (kłęcząc śpiewają).

Śpiew Nr. 6.

Kto się w opiekę podda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieje rzec mogę, mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

J a n (wstaje).

Pójdę posłuchać, czy nie usłyszę szelestu, bo bracia źle z nami (odchodzi do ganka).

Filip.

Takie nasze przeznaczenie; Panu Bogu się tak podobało, abyśmy taką śmiercią ginęli. O Boże, polecam Ci moją żonę i dzieci, racz je otoczyć swoją opieką!

S t a ś.

Będąc jeszcze młodym, marzyłem tyle o przyszłości, a teraz muszę umierać tak okropną śmiercią głodową.

Filip.

Tyś samotny, ale co poczną moje sześcioro dzieci! Na samo ich wspomnienie serce mi pęka od żalu.

S t a ś.

I ja mam matkę, której byłem podporą na jej stare lata; odtąd nie będzie miała nikogo oprócz Pana Boga.

J a n (wchodzi).

Nic nie słysząc; ganek niezawodnie na kilka metrów zawałony, i będzie potrzeba z dwa tygodnie czasu, aby uprzętnąć. — Więc jesteśmy żywcem pogrzebani. Bracia! przygotujmy się na śmierć. — Ach! jak okropnie brzmi to słowo: śmierć!

Filip.

Ohleba już my trzy dni nie jedli, wody nie mamy, oleju tylko trochę w lampie, więc będziemy ginęli okropną śmiercią głodową. O Boże! Boże zmiłuj się, a dopomóż nam!

S t a ś.

Dopóki jeszcze światło mamy, napiszę list i przybiję na drzewie. Jeżeli nasze ciała znajdą, to znajdą i ów list, który będzie po nas pamiątką.

J a n.

Masz papier?

S t a ś.

Mam i ołówek.

F i l i p.

Dobry pomysł, mam także papier i ołówek napiszę także do żony (pisze).

S t a ś (pisze).

J a n (składa ręce i modli się po cichu).

S t a ś (po chwili).

Tak napisałem:

Godzina 3 w piątym dniu.

Kochana matko!

Żegnam was na zawsze i polecam Panu Bogu i Matce Najświętszej. Dziękuję wam za wychowanie i proszę odpuśćcie mi, skorom was kiedy obraził. Nie narzekajcie; taka była wola Pana Boga, abym taką śmiercią ginął. W mojej szafce znajecie złoty krzyżyk: Proszę, oddajcie go Hance Janowej, bo to dla niej był przeznaczony, i pozdrówcie ją odemnie. Teraz zostańcie z Bogiem kochana matko, do widzenia w wieczności!

Wasz kochający syn.

S t a ś (ociera chustką oczy).

A wam co Janie pisać?

J a n (słabo).

Pozdrowienie dla żony, córki i Szymusia, jeżeli żyje. Sąsiadów przepraszam, jeżeli ich kiedykolwiek obraziłem. Proszę ich, aby mi odpuścili, tak jak ja im z całego serca odpuszczam. ,

S t a ś (pisze).

Filip.

Ja tak napisałem: (czyta).

Kochana żono!

Z wyroków Boskich jesteśmy rozłączeni na zawsze. Miej staranie o dzieciach i ufaj w Bogu, On ci pomoże. Jeżeli będziesz w potrzebie, udaj się z prośbą do nowego inspektora, on ci z pewnością dopomoże, bo ma dobre serce ku nam robotnikom. Grzesiowi oddaj 6 marek, któreśmy pożyczili na kartofle; w sklepie jestem powinien 50 fenygów, które także zapłać. Już jesteśmy słabi, trzy dni już my nie jedli, wody nie mamy; wszelka nadzieja ratunku znikła, zaczynamy się na śmierć gotować. Pozdrów wszystkich krewnych i znajomych, i proszę ich o przebaczenie, jeżeli ich kiedy obraziłem. Okropną śmiercią ginieemy. Polecam ciebie i drogie dzieciętki Panu Bogu, w ostatku proszę, módlcie się za mną.

Twój mąż i ojciec

Filip.

S t a ś.

Teraz przybijmy na drzewo, będzie to nasz testament (przybijają).

J a n.

Ćmi mi się w oczach, zdaje mi się, że mój koniec bliski (siada).

Filip (siada obok niego).

Wzbudźmy żal za grzechy, i prośmy miłosiernego Boga, żeby dusze nasze przyjął do siebie.

S t a ś (siada obok Filipa).

Boże Ojcze! bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Filip.

Bracia i was proszę o przebaczenie.

S t a ś.

Z całego serca.

J a n.

Mnie także odpuście (ściskają się). Ach! już mdleję (opiera głowę o drzewo) gdybym mógł kroplą wodą moje usta odwilżyć, ach, pali... pali... bracia do widzenia!...

Filip i S t a ś (zatykają oczy chustkami, słysząc lekkie stukanie w oddali).

Filip (wstaje i słucha).

A to co? Drzewo pęka, albo się kamień wali.

S t a ś (wstaje i słucha).

Ej, to nie drzewo, ani kamień, to pukanie kilofem (słucha). Tak, to kilofem kopią. Janie, (cuci go) Janie, kamraci nas odkopują.

J a n (podnosi głowę).

O Boże ratuj!

Filip.

Stasiu, weźmij kilofa i bij po stósie, dawaj znać, że żyjemy.

Staś (trzaska za sceną).

Już tylko około 3 metrów od nas oddaleni; za parę chwil będziemy ocaleni.

Jan (smutno).

Gdyby się tylko spieszyli.

Staś (pada na kolana).

Boże ratuj! Najświętszo Maryo, przyczyn się za nami! Święta Barbaro, módl się za nas!

Filip (radośnie).

Janie, już słychać głosy kamratów.

Staś (wstaje).

Zdaje mi się, że u góry są bliżej.

Filip (pokazuje).

Patrz Stasinku, już się u góry węgle poruszają.

SCENA 9.

Ci sami, sztygar.

Sztygar (najprzód lampę, potem głowę wyciska).

Kamraci, żyjecie?

Filip, Staś (radośnie).

Żyjemy! żyjemy!

Sztygar, (wyciska butelkę).

Oto butelka wina; posilcie się, przystawcie drabinę.

Filip (chce podnieść drabinę lecz siły mu nie pozwalają).

Stasiu, pomóż mi (obaj przystawiają drabinę, Staś odbiera butelkę i najprzód podaje Janowi, potem pija po kolei).

J a n.

Panie Boże, dzięki Tobie.

S z t y g a r (podaje butelkę).

Tutaj, macie mleko; skoro u góry zabudujemy, zaczniemy dalej ganek uprzętać.

F i l i p.

Panie sztygar, proszę pracujcie, abyście nas jak najprędzej oswobodzili z tego więzienia.

S z t y g a r.

Już pięć dni i pięć nocy pracujemy, aby was jak najprędzej odkopać.

F i l i p.

Panie sztygar, co moja żona i moje dzieci porabiają?

S t a ś.

A moja matusia?

S z t y g a r.

W dniu i w nocy siedzą na szybie i lamentują, czy was dostaniemy.

J a n.

Panie sztygar, jestem słaby; a mojego Szymusia nie zasypało?

S z t y g a r.

Nie! żyje i także tu jest w kopalni, tylko chwilę cierpliwości (chowa się).

SCENA 10.

Oi sami, g ó r n i c y, s z t y g a r.

S t a ś.

O Boże mam nadzieję, że zobaczę moją kochaną mateczkę i Haneczkę.

F i l i p.

I ja także moją żonę i drogie dzieciętki.

J a n (kłęka).

Panie Boże, dziękuję Ci z całego serca, że nas przy życiu utrzymałeś, weźmij nas nadal w Twoją świętą opiekę (słychać trzaskanie i gwar mowy górników za sceną); Odrzucajcie na stronę! Dawaj wóz czempredzej, bo to będzie ostatni! Wartko! Górniccy wchodzą z kilofami, i ocierają pot z czoła).

G ó r n i k.

Bracia, żyjecie?

W s z y s c y.

Święta Barbarka, patronka nasza nas wspierała, (uściski wzajemne).

G ó r n i k.

O Boże, niepojęte są drogi Opatrzności Twojej.
Zasłona spada.

Akt IV.

Scena przedstawia szyb, jak w drugim akcie.

SCENA 1.

J u l i a n n a, H a n k a, S t a c h.

J u l i a n n a (załamuje ręce).

O Boże, Boże, czegoż ja też doczekałam.

H a n k a (załamuje ręce).

Tatusiu, drogi tatusiu, gdzie jesteście (spogląda do szybu).

J u l i a n n a.

O nieszczęśliwa kopalnio, nieszczęśliwi górnicy, dawno przeczuwałam, ale mój mąż nie chciał słuchać.

S t a c h.

Nie lamentujcie Janowa, i poddajcie się z ufnością woli Pana Boga.

J u l i a n n a (lamentując).

Oj! gdybym go jeszcze raz zobaczyła, ale nie można ani ciała uczciwie pogrzebać.

S t a c h.

Miejcie cierpliwość, przecież ich dostaną, kiedy kopią w dzień i w nocy.

H a n k a.

Już pięć dni kopią, a nie mogą ich odkopać.

S t a c h.

To nie idzie tak prędko, przecież ganek na kilka metrów zawalony, a więc potrzeba drzewem budować, żeby się znowu jakie nieszczęście nie przytrafiło.

SCENA 2.

Oi sami, **M a ł g o r z a t a**, **P a w e ł e k**, **M a r y s i a**.

P a w e ł e k.

Gdzie nasz tatuś, gdzie nasz tatuś! (płacze).

Marysia.

Mamo, pójdźmy do tatusia, (ciągnie za rękę) pójdźmy.

Małgorzata (do Stacha).

Nie ma z dołu żadnej wiadomości?

Stach.

Dotąd nie.

Małgorzata.

Nie wytrzymam; pójdę i będę kopać.

Stach.

Małgorzato, nie potrzeba. Pan inspektor sam pilnuje pracy, aby tylko każdy pracował co sił starczy, górnicy pracują po 4 godziny.

Marysia.

Mamo, tatusia nie ma?

Pawełek.

Mamo, ktoś nam zarobi pieniądze na chleb?

Małgorzata (załamuje ręce).

Ach moje biedne dzieci, już nie ma tego, który nas żywił (płacze).

Hanka.

Pójdę do kopalni, i będę prosić górników, żeby się spieszyli (chce złazić).

Stach (chwyta ją).

Dziewczyno, nie mogę ci tego dozwolić, gdyż tu jestem postawiony, abym wstępu do szybu pilnował.

Hanka (wydziera się).

Stachu, puszczajcie mnie!

S t a c h (zastępuje wchód).

Nie pozwolę, gdy przyjdzie pan inspektor poproś, może cię rozkaże na maszynie spuścić i poleci górnika za przewodnika.

H a n k a.

Gdzie jest pan inspektor?

SCENA 3.

Ci sami, **J a k ó b o w a** staruszka, podpira się laską.

J a k ó b o w a.

Gdzie mój syn? Gdzie mój syn? Moje ukochane dziecko? Któż mnie będzie żywił, któż mnie pocieszy na moje stare lata (siada na ławie obok Juliany, która fartuchem ma zasłonięte oczy).

M a ł g o r z a t a.

O biedneśmy opuszczone wdowy.

J a k ó b o w a.

Gdzie mój kochany Stasiek, moje dobre dziecko, myślałam, że mnie ty pochowasz, a ja opłakuję twoją okropną śmierć. Ach ja nieszczęśliwa!

S t a c h.

Uspokójcie się, Jakóbowa, bo wam to nic nie pomoże, tylko sobie zdrowiu szkodzicie.

J a k ó b o w a.

Co mi po życiu, kiedy już nie mam mojego Stasia.

H a n k a.

Stachu, puszczajcie mnie, pójdę do kopalni.

S t a c h (zastawia wchód).

Dziewczynno nie wolno, patrz, ktoś wyłazi, światło od lampy migoce, pewno inspektor, więc go poproś, aby ci pozwolił zleść do kopalni.

SCENA 4.

Ci sami, S z y m u ś.

S z y m u ś (wystawia głowę z szybu).

Żyją, żyją, żyją (Szymuś wyłazi, wszyscy go obstepują).

W s z y s c y.

Kto?

S z y m u ś (ociera pot z czoła).

Wszyscy trzej żyją.

J a k ó b o w a.

Żyją, ale tam na drugim świecie.

S z y m u ś.

Wierzajcie mi babciu i Staś żyje.

J u l i a n n a.

Zdrowi.

S z y m u ś.

Zdrowi, tylko nasz ojciec trochę słaby.

H a n k a (ciekawie).

Widziałeś ich, rozmawiałeś z nimi?

S z y m u ś.

Niel tylko gdyśmy byli już blisko, usłyszeliśmy trzaskanie. Wtedy rozkazał inspektor górą węgle i kamienie odrzucać. Szytgar najpierwszy przekopał

dziurę i podał im wina i mleka. Było słyszeć ich głosy. Teraz odwożą spodek, a mnie rozkazał pan inspektor wyleść, żebym wam doniósł ową pocieszającą nowinę.

P a w e ł e k.

A nasz tatuś też żyją?

S z y m u ś.

Tak!

M a ł g o r z a t a.

O Boże, składam Ci stokrotne dzięki!

J a k ó b o w a.

Mój Stasiek żyje!

S z y m u ś.

Gdy ich dostaną, zaraz ich maszyna wyciągnie. Pan inspektor rozkazał, aby był wóz na pogotowiu.

J u l i a n n a.

O Boże, niepojęte są drogi Twoje!

M a ł g o r z a t a.

Minuty mi się godzinami wydawają. Ach, gdyby go już jak najprędzej zobaczyć. Pawełku, biegaj do domu, powiedz innym dzieciom, że ojciec żyje.

(Pawełek odchodzi).

H a n k a.

Ach, gdyby ich już ujrzeć!

S t a c h (spogląda do szybu).

Ktoś wyłazi...

W s z y s c y (obstępują szyb).

To nasi! To nasi!

G ó r n i k (na drabinie).

Jużeśmy ich odkopali. Skoro tylko się trochę posilą, zaraz ich maszyna wyciągnie (wyłazi). Moi kochani, tej chwili, tego powitania, gdyśmy do nich dojechali, nie zapomnę do śmierci.

J u l i a n n a.

Mój bardzo słaby?

G ó r n i k.

Był trochę słaby, ale już dosyć orzeźwiął.

P a w e ł e k (wchodzi).

Mamo, Stasiak tu idzie.

S t a c h (spogląda).

Maszyna w ruchu, pewno ich wyciągają.

J a k ó b o w a.

Ciągną, ciągną, może ich ciała, a nam powiadają, że żyją.

SCENA 5.

Ci sami, inspektor, sztygar, Staś, Jan, Filip, Stasiak, górnicy.

I n s p e k t o r.

Moi ludkowie, dziękujcie Bogu i świętej Barbarze, wasi mężowie i krewni żyją, i zaraz ich zobaczycie.

J a k ó b o w a.

Mój syn też?

I n s p e k t o r.

Tak żyje; wszyscy trzej żyją i oto nadchodzą

(wchodzą, Jana prowadzą dwaj górnicy pod pachę, sadzają go na ławie, wzajemne uściski, płacz z radości).

M a ł g o r z a t a (chwyta Filipa za szyję).
Mój kochany mężu!

J u l i a n n a (chwyta Jana za szyję).
Witajże, mój drogi mężulku.

H a n k a (upada do nóg Jana).
Witajcie, drogi tatusiu.

J a k ó b o w a (chwyta za szyję Stasia).
Mój kochany synu.

P a w e ł e k (chwyta Filipa za rękę).
Tatusiu, tatusiu.

M a r y s i a (chwyta za drugą rękę).
Mój tatuś, mój tatuś.

S t a s i e k (wpada).

Gdzie tatuś, mój drogi tatuś (upada do nóg Filipa). Tatusiu, zdejmijcie torbę, bo wam za ciężko, ja ją poniosę do domu.

(Filip zdejmuje torbę i oddaje Staškowi, dobywa chustki i wyciera oczy).

F i l i p (składa ręce i oczy podnosi do góry).

Boże! jakże Ci dziękować, żeś mi pozwolił oglądać drogie mi osoby. W dwóch ostatnich wojnach walczyłem na polu bitwy, mając każdy dzień i każdej godziny śmierć przed oczami, ale tak jej się nie lękałem, jak w kopalni śmierci głodowej.

H a n k a.

Ojczulku, bardzoście słabi?

J a n.

Już mi lepiej; prawda byłem już bardzo słabym, i gdyby nas jeszcze dziś nie byli odkopali, już byście mnie żywego nie byli oglądali.

S t a ś.

Matko, Hanusiu! gdy sobie przedstawiłem, że was muszę opuścić, serce mi pękało z żalu. Bogu i św. Barbarze powinniśmy dziękować, że nas którego z rozpaczy paraliż nie ruszył.

S t a s i e k (do Filipa).

Tatusiu, chodźcie do domu.

Filip (do inspektora).

W imieniu moich kamratów składam serdeczne podziękowanie, za wszystkie trudy, które pan inspektor poniósł podczas naszego odgrzebywania.

I n s p e k t o r.

Uczyniłem tylko moją powinność.

S t a ś.

I wam współbracia, którzyście tak pilnie pracowali, składam serdeczne „Bóg zapłać!”

M a ł g o r z a t a.

Mój kochany, co my się tu przez te 5 dni napłakały, Boga naprosiły, ale nas Pan Bóg dobrotliwy wysłuchał i żywych was nam przywrócił.

J u l i a n n a.

Mężu, poślę po farmankę, pojedziemy do domu.

I n s p e k t o r .

Nie potrzeba, zaraz bryczka przyjedzie, tylko pojechała po lekarza.

J u l i a n n a .

Dziękuję!

I n s p e k t o r .

Moi drodzy! Nigdy się nie spodziewałem, aby na wstępie mojego nowego urzędu się takie nieszczęście, a zarazem szczęście przytrafiło. Obchodząc kopalnię byliśmy w tym przodku, i gdybyśmy się parę minut byli spóźnili, na miejscu by nas było zabiło. Ale niepojęte są drogi Pańskie, bez woli Pana Bogą włos nam z głowy nie spadnie. Więc dziękujcie Jemu wy żony, że macie żywych i zdrowych waszych mężów. Dziękujcie dziatki, że oglądacie znowu waszych ojców. Dziękuj i ty staruszeko, że masz twego jedynaka, któregoś już zgon opłakiwała. Dziękujmy wszyscy Panu Bogu i św. Barbarze patronce górników, pozdrawiając ją przez piosenkę na Jej cześć ułożoną:

Śpiew Nr. 7.

Barbaro święta, perło Jezusowa,
Ścieżko do nieba grzesznikom gotowa,
Wierna przy śmierci Patronko, smutnemu
Konającemu.

Źródło czystości, obmyta na wieki,
Nie opuszczaj nas z twej świętej opieki,
Ty nas przygotuj na drogę wieczności
W świętobliwości.

Barbaro święta! uproś godne życie,
Bym mógł opłakać złości me sownie,

Po dobrej śmierci z Świętami mieszkanie
Daj Jezu Panie!
Zasłona spada.

Akt V.

W pół roku później.

(Scena przedstawia pomieszkowanie Jana, jak w I akcie, stoły przygotowane do uczyty weselnej).

SCENA 1.

J u l i a n n a (ubrana w szatach świątecznych).

Wesele! Któżby był powiedział przed pół rokiem, gdy nasi byli zasuci, że do naszej chaty jeszcze zawita radość i uciecha. Ale na tym Bożym świecie wszystko się kołem toczy. Zrazu nie chciałam Stasia za zięcia, ale cóż robić? Sprzeciwić się nie będę, bo śmierć i żona, od Boga przeznaczona. A zeszłą takiego chłopaka jak Staś, potrzeba dzisiaj z świeczką szukać, i zdaje mi się, iżby Hanka lepszego nie dostała. A jak mnie dosłuchy dochodzą, ma zostać nadgórnikiem w miejsce Przychlebka, któremu pan inspektor pracę wypowiedział.

SCENA 2.

J u l i a n n a, **J a n** (w ubiorze górniczym paradnym).

J u l i a n n a (spogląda).

A to co? W jakim to ubiór się ubrałeś? Nie zapominaj, że to nie parada górnicza, tylko naszej córki wesele.

J a n.

Moja kochana, dzisiaj górnicze wesele; młody pan górnik, młoda pani też górnicza córka; więc dzisiaj wiwat: niech żyją górnicy!

J u l i a n n a.

Człowieku, nie mogę pojąć, co ty za górnikami tak przepadasz; już dosyć użyłeś tego górniczego życia. Ale ty jednak górnictwo kochasz i będziesz kochał, dopóki ci ziemi nie nasypią na oczy.

J a n.

Tak moja Julusiu, jestem tylko zadowolniony z mojego losu, i kocham pracę, której się za młodu nauczyłem. Spojrzyj tylko na świat! Ile tam jest niezadowolenia i zazdrości pomiędzy ludźmi! A dla czego? Bo nie są kontenci ze swego losu, i chociaż się niektórymu dobrze powodzi, jeszcze sięga wyżej i zazdrości innemu, nie pamiętając na nasze przysłowie, „że każdy ma swego mola, co go gryzie.“ Ten ubiór górniczy kocham, bo on jest godzien mej pracy, i każdy robotnik powinien kochać swą pracę, a wtedy chociaż jest najtrudniejszą, staje mu się lżejszą.

J u l i a n n a.

Bądź-że już cicho, dosyć tego kazania, a pomyślmy, co damy gościom.

J a n.

Przecież już należyście rozporządziłaś.

J u l i a n n a.

Już wszystko gotowe, tyłkoby potrzeba dla chłopców kupić kilka kwart wódki.

Jan (stanowczo).

Nie, na to nie pozwolę, ażeby w moim domu i na weselu mej córki miało się to „oparstwo“ znajdować. Mamy dosyć piwa bawarskiego, niech każdy pije piwo.

Juliana.

To kupmy wina.

Jan.

Ej, takie wino po 40 albo 50 fenygów, to prawdziwy „maras“, a na dobre wino robotnika nie styka. Przynieś na stół kołacza, dasz każdemu kawy, po ślubie obiad, do obiadu piwo. Później ugotujesz herbaty, i myślę, że tak będzie dobrze.

Juliana.

Ale to nigdzie tak na weselu nie dawają.

Jan.

Więc u nas tak będzie; usłuchaj mnie, a będzie dobrze.

Juliana.

O rety, mięso mi się przypali (prędko odchodzi).

SCENA 3.

Jan, Szymuś.

Jan.

Moja żona chciałaby wszystko urządzić, jak gdzie indziej i jak stary zwyczaj. Przecież świat postępuje w oświacie, więc i my postępować powinniśmy. Stare obyczaje, jeżeli dobre i niezabobonne zatrzymajmy, ale co dobre choć nowe, to sobie przyswójmy.

S z y m u ś (wchodzi).

Stryj mówili, że jeżeli po nich bryczkę przyślecie, to na wesele przyjdą, w przeciwnym razie nie, bo oni piechotą nie pójda.

J a n.

A niech cię gęś kopnie; to jest nowomodne państwo, któreby się tylko wozilo. Ale nie dziw, skoro się tylko dziecko urodzi, choćby tylko parę kroków do kościoła, już je wiozą do chrztu św. A wesele jakżeby się też odbyło bez bryczki. Czy cię na to styka lub nie, albo jeżeli to twój stan przynosi, o tem nie ma pytania. Tylko wóz przykryty, lokaj w liberyi musi młode państwo do ślubu powozić. Najśmieszniej wygląda, gdy wszyscy jedną bryczką się zwożą, najprzód goście, a na ostatku młode państwo. Razu jednego przyjechali goście do kościoła, wysiedli i woźnicy zapomnieli powiedzieć, że ma jechać jeszcze raz po młode państwo. Woźnica dla roztargniania zapalił fajkę, i czeka, aż przyjdą z kościoła. Ale siedzi ćwierć, pół, trzy ćwierci godziny, a nikt nie wychodzi. Wtedy ukazuje się jeden z starostów zobaczyć, czy już przyjechali. Widząc bryczkę, zapytuje woźnicę: „Gdzie młodzi państwo?“ Woźnica mówi: „Nie wiem, jeszcze nie przyjechali.“ „A dla czego po nich nie jedziesz?“ „Bo mi nikt nie kazał“. Dalejże teraz po młodych panów, a goście siedzą w kościele i czekają, a mróz był siarczysty. Nareszcie przyjechali, ale cóż? Młody pan zapomniał papierów, bez których nie mogli otrzymać ślubu. Dalej tedy jeszcze raz do domu, ale już nie bryczką, tylko pieszo się puścił starosta, mówiąc, że mu w nogi zimno, to się zagrzeje. Dwie

godziny upłynęło, niżeli się odbył ślub z powodu bryczki. A ty księżozzku czekaj, aż się państwo pozwozi. Do chorego czasem i w nocy, potrzeba księdzu iść i na drugi koniec wsi piechotą, bo na furmankę nie styka. — A co za dziwaczne ubrania mają niektóre młode panny; aż strach pomyśleć. Widziałem córkę robotnika, idącą do ślubu, której dwie dziewczynki ogon sukni (to jest taką ślepę) niosły choćby jakiej hrabinie albo księżnej. Czy się tacy nie wynoszą nad swój stan?

S z y m u ś.

Jakże, mam jeszcze iść raz prosić?

J a n.

Nie; bryczek żadnych nie będziemy wysłać, mamy zdrowe nogi.

S z y m u ś.

Ojcie, wszyscy ciekawi zobaczyć nasze wesele.

J a n.

A to czemu?

S z y m u ś.

Pewno, że druźbowie i młody pan pójdą w ubiorach górniczych.

J a n.

Synku, to na każde wesele tak biegają kobiety z ciekawości, żeby miał język co do roboty, dziewczynny z zazdrości, że znowu jedna idzie za mąż, inne osoby, aby oczy napaść. Wiele takich znam, które w Niedzielę nie idą na mszę św., chociaż to jest obowiązkiem każdego katolika; ale gdy przyjdzie ślub, to najpierwsze w kościele. Słuszny zaprowadził zwyczaj

pewien proboszcz na Górnym Szląsku, że kto nie należąc do uczestników wesela, chce wstąpić podczas aktu ślubnego do kościoła, płaci za bilet 20 fenygów które się na ubogich rozdaje.

S z y m u ś.

Pójdę zobaczyć, czy już z młodym panem idą.

SCENA 4.

J a n, J u l i a n n a (wyciera oczy fartuchem).

J a n.

A to co?

J u l i a n n a.

Hanka płacze, i mnie także na łzy się zebrało; żal mi dziewczyny.

J a n.

Pamiętasz, jak płakałaś, gdyśmy do ślubu wychodzili, a dziś za nic w świecie byś mnie nie oddała.

J u l i a n n a.

Ty zaraz wleziesz do sumienia (odchodzi).

J a n.

Bo mówię prawdę.

SCENA 5

J a n, F i l i p (w ubiorze górniczym).

F i l i p.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

J a n.

Na wieki Amen.

Filip.

Jak się macie?

J a n.

Dosyć dobrze; dziękuję wam, Filipie, żeście mi nie odmówili przybyć na wesele mojej córki, a osobliwie za starostę.

Filip.

O starostę mniejsza, ale co tu mówić?

J a n.

Parę słów o ważności stanu małżeńskiego, i coby więcej? (patrzac w głąb). Już nadchodzą.

S z y m u ś (wpada).

Już z młodym panem idą.

J u l i a n n a (wchodzi).

Witam was, Filipie (podaje rękę, słycać krzykanie družbów za sceną).

SCENA 6.

Ci sami, S t a ś, S t a c h, M a ł g o r z a t a, J a k ó b o w a, dwaj družbowie, dwie druchny, goście).

S t a c h (starosta po górniczemu z róższeczką mirty).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Filip.

Na wieki.

S t a c h.

Kochani ludkowie! Nie przyjęlibyście nas w gospodę?

Filip.

Chętnie przyjmiemy was, stósując się do naszego

polskiego przysłowia: „Gość w dom, Bóg w dom”.
Prosimy, usiądźcie (siadają za stoły).

S t a c h.

Mój kochany panie, pewnoś gospodarzem tego domu; prosiłbym, żebyś nas czem posilił, bo jesteśmy z dalekiej krainy i głodni.

F i l i p.

Gospodarzem nie jestem, tylko zarządcą, to jest starostą. A co do posilenia, to jeszcze dawna gościnność w nas Górnoszlązakach nie wygasła. Hej kucharki, przynoście tym ludziom jeść. (Kucharka, Julianna przynoszą kołaczki, garnuszki i dzbanek z kawą). Ale dokąd się wybieracie, czy wolno zapytać? (Goście, druchny, druźbowie piją i jedzą).

S t a c h.

Jak niegdyś Abraham wysłał sługi swoje, żeby synowi Izakowi szukali żony, tak i ja jestem wysłany, ażeby temu oto młodzieńcowi szukać towarzyski życia. Jak sługa Abrahama uprosił u Pana, że która panna nie tylko jego, ale i wielbłądy napoi, ta będzie żoną Izaka, tak i ja umyśliłem, że gdzie nas w gospodę przyjmą i nakarmią, nie tylko mnie, ale całe moje towarzystwo, że w tej gospodzie będzie też ta, której szukamy.

F i l i p.

Miłościwy panie starosto, jesteś u celu twojej podróży. Ale nie jest to tak łatwo powierzyć komu ten skarb, którego rodzice przez tyle lat strzegli, jak oka w głowie. Więc chciałbym też mieć jaką pewnoś, że jej ów młodzieniec już nigdy nie opuści.

S t a c h.

Dobrze, zgadzam się na to; ten młodzieniec przyrzeknie jej przed Boga ołtarzem wierność i miłość aż do śmierci.

F i l i p.

Gdy sługa Abrahama znalazł żonę dla Izaka, obdarował ją różnemi rzeczami, jako to kolczykami, naramiennikami itd. Czy i ja nie mógłbym się od was czem pokłonić?

S t a c h.

My także podarunek damy, tylko proszę ją przyprowadzić.

F i l i p (odchodzi).

J a n (do gości).

Proszę, jedzcie, nie dajcie się prosić!

F i l i p (przyprawdza druchną okrytą płótnem).

Oto odbierz ją sobie.

S t a c h.

Co to ma znaczyć panie starosto? Takie budy stawiają tylko na jarmarku, a my jeżeli tę osobę zabierzemy, to ją musimy widzieć, ażeby nas nie oszukano, jak niegdyś Jakóba w starym testamencie, który siedem lat służył za Rebeke, a potem zamiast Rebeke otrzymał Leę. A jak się to stało? Bo Lea była przy ślubie zasłonioną.

F i l i p (odstania druchną).

S t a c h.

Nie, to nie jest ta, której szukamy; jeżeli innej nie macie, tośmy zbłądzili, i musimy się w dalszą podróż wybierać.

Filip.

Przebaczcie panie starosto, chciałem tylko tego młodzieńca doświadczyć, czy się też pierwszej lepszej dziewczyny nie uchwyci. Teraz wam przyprowadzę tę prawą, tylko proszę o podarunek, ażebym się też miał czem przekazać (bierze talerz).

Stach.

Nie miło mi to, naprzód płacić, ale jeżeli już tak być musi, proszę młody panie.

Stas (do ucha Stacha).

Wieleż to dać?

Stach (do ucha Stasia).

Daj dziesięć fenygów.

Stas (daje na talerz).

Filip (się śmieje).

Ha! ha! ha! Czy to ma być dla mnie na tabakę do zażywania? Przecie za 10 fenygów, tylko z piernika babę kupić można. To za mało!

Stas.

To dam więcej (daje 10 marek).

Filip.

Dziesięć marek, to co innego, ale to wszystko mało; jak zobaczycie, dacie więcej.

Stach.

Naturalnie jak zobaczymy.

Śpiew Nr. 8.

Druchny i družbowie wstają i śpiewają.

Wychodź, wychodź kochanie moje,
Już ci nie pomoże płkanie twoje,
Płkanie ci nie pomoże,
Staś czeka na cię w ubiorze,
Już wystrojony.

Filip prowadzi Hanke, która śpiewa:

Jakóźby ja z wami teraz chodziła,
Gdym jeszcze rodzicom nie dziękowała,
Dziękuję wam moi mili,
Coście się o mnie starali
Przez tyle lat.

H a n k a (całuje w rękę Jana i Julianę).

Filip (chwyta Hanke za rękę i oddaje ją Stachowi).

Teraz ją sobie odbierz, i pamiętaj, że obaj będziemy świadkami tego ślubu, który ci nowożeńcy dzisiaj zawrą przed Boga ołtarzem.

S t a c h (oddaje rękę Hanki Stasiowi).

Odbierz ją sobie panie młody, i żyj z nią w zgodzie i miłości, postępując podług przykazań Bożych, wtedy wam się dobrze powiedzie. A my obecni zebrałiśmy się, aby towarzyszyć temu młodemu państwu, i aby być świadkami tego ważnego aktu ślubnego, który ci nowożeńcy przed Boga ołtarzem pomiędzy sobą zawrzcć mają. Ważny to akt, bo św. Paweł powiada, że Sakrament małżeństwa jest wielki. A Bóg zaś sam mówi: Opuści mąż ojca i matkę i połączy się z żoną swą, i oboje żyć będą w jednym ciele. Tak i ty, panie młody, opuszczasz dzisiaj matkę twoją, tę matkę, która cię zrodziła, wychowała i miała o tobie staranie,

dopókiś nie potrafił zarobić na kawałek chleba. Tę matkę dzisiaj opuszczasz, aby się połączyć z żoną swą. Ale nie zapominaj i nadal o matce w starości, bo wstępując do stanu małżeńskiego zostajesz mężem, ale synem jednakowż pozostajesz aż do śmierci. Ty, panno młoda, opuszczasz dom rodzicielski, gdzie się wychowałaś; opuszczasz ojców tych, którzy cię nauczyli pierwszych prawd wiary św., którzy mieli o ciebie staranie, tych dzisiaj opuszczasz, aby się połączyć z mężem swym. Podnieście w tej ważnej chwili wasze oczy i serca do nieba, i proście Pana Boga, aby wam w tym nowym stanie małżeńskim pobłogosławił, aby wam się dobrze powodziło i abyście długo żyli na świecie, czego wam wszyscy tu obecni z serca życzymy. Teraz uklęknijcie, a wy rodzice błogosławcie im.

(Państwo młodzi klękają, Jan i Julianna trzymają ręce nad ich głowami, Jakóbową stoi w środku; grupa, cisza, zapala się ogień bengalski — żywy obraz.

(Zasłona spada).

SCENA 7.

Ci sami stoją parami do poloneza; najprzód Jan z Julianną, Staś z Hanką, drużbowie, goście, na ostatku Stach z kulawą Jakóbową.

Śpiew Nr. 9.

J a n.

Hejże za mną jeno śmieje,
Bawmy się wszyscy wesole,

Wszakci to Hanki wesele,
Posuwisto ruszmy w koło.

(Za każdą strofą posuwają się parami poloneza, muzyka przygrywa).

Niechaj nasze modne pany,
Uczą się sztucznie wirować;
Nasz polonez ukochany,
Będzie nam zawsze przodować.

Kontredanse i walczyki,
Kotyliony i gawoty,
Niech skaczą kuse fircyki,
Nasz polonez dla kapoty.

Choć nam obcy klehcą w głowie,
Że dzisiaj świat postępowy,
Czczymy naszych ojców mowę,
Czczymy tan nasz narodowy.

Zasłona spada.

KONIEC.

